*Lipiec 2013 r.*

**Grzech pychy**

Po długim i wyczerpującym tournée medialnym związanym z sukcesem *Towarzyszki panienki* wyjeżdżamy na wyspę Kos. To prezent od Fedka na moje 50. urodziny. (…) Mieszkamy w hotelu nad morzem. Wkoło prawie sami Rosjanie i trochę Niemców. (…)

Pewnego poranka idę do sali restauracyjnej. Niosę miseczkę z greckim jogurtem. Wokół znów sami Rosjanie uzbrojeni w ciężką artylerię tłustego mięsiwa, górę jajecznicy i koszyki z pieczywem w paru odmianach. Bo dla nich śniadanie to najważniejsze danie dnia. Dla starszego pokolenia mogłoby się składać nawet z kotletów z makaronem. (…)

W pewnym momencie podchodzi do mnie sympatycznie wyglądająca niewysoka kobieta.

– Przepraszam, czy pani z Polski? – pyta konspiracyjnym tonem w naszym języku.

– Tak… – odpowiadam i uśmiecham się z obłudną skromnością, spodziewając się komplementów pod adresem mojej książki.

– No właśnie tak myślałam, bo taka znajoma buzia.

Już jestem pewna, że mnie rozpoznała. Czytała książkę, może nawet poprosi o autograf – podpowiada mi znienacka obudzone narcystyczne ego.

– Tak się cieszę, że panią poznałam! – kobieta się rozpromienia. – Czy nie ma pani przypadkiem tabletek na przeczyszczenie? Bo koleżanka przyjechała z synem i on już od trzech dni ani w tę, ani we w tę…

– Mam. Przyniosę na kolację xennę extra – odpowiadam z godnością, a w środku aż się trzęsę ze śmiechu ze swojej zawiedzionej pychy.

Prawdziwe katharsis. Fizjologiczne i psychologiczne. Skądinąd zastanawiam się, co mogłoby w praktyce oznaczać to „we w tę”? (…)

**Śmiech**

Chyba tylko raz widziałam ojca tak beztrosko szczęśliwego. Podczas naszych wakacji na Krymie. Chodziliśmy razem nad brzeg morza, aby pobawić się z falami. Im były większe, tym większą sprawiały nam radość. Ojciec trzymał mnie za rękę i oboje przeskakiwaliśmy przez te fale. Piszczałam, krzyczałam, podtrzymywana przez ojca kładłam się na tej fali i miałam wrażenie, że kołyszę się niczym w łódce. Wspólnie śpiewaliśmy piosenkę, którą ojciec sam wymyślił: „Taka fala to dla nas fraszka, taka fala to tylko igraszka”. Ojciec był wtedy naprawdę szczęśliwy, widząc mnie taką roześmianą. Wesoły, rozluźniony, zwolniony z narzuconego przez mundur i stanowisko regulaminu. (…)

**Kokota**

Mama zawsze lubiła mocny makijaż – pozostało jej to z czasów, kiedy tańczyła. Powtarzała, że bez makijażu czuje się jak bez ubrania. Ojcu najwyraźniej to się podobało. Kiedy widział kobietę umalowaną, nawet jeśli była średniej urody, mówił, że jest atrakcyjna. Ja z kolei bardzo rzadko się maluję. Dzisiaj w ramach makijażu wolę nosić odpowiednie okulary.

W 1987 roku byłam z ojcem w Grecji. Na kolację z premierem Andreasem Papandreu ubrałam się w prostą czarną sukienkę, do tego założyłam szal, który przywiozłam z Indii. Miałam włosy spięte do tyłu, bo ojciec to lubił. Myślę, że taki typ uczesania przypominał mu matkę; ona również spinała włosy. Te gładkie fryzury nosiły kobiety z ziemiańskich domów, które nigdy nie miały zwyczaju się malować. Ja zrobiłam lekki makijaż. Kiedy weszłam do apartamentu ojca, popatrzył na mnie krytycznie i powiedział: „Co się tak wymalowałaś? Wyglądasz jak kokota...”. (…)

*Sierpień 1979 r.*

**From Russia with love**

Jako 16-latka pojechałam na wakacje wraz z przyjaciółką w okolice Suchumi – do ośrodka położonego nad rzeką Gumista. Było to bajeczne miejsce, wśród ciągnących się hektarami sadów mandarynkowych. Co prawda mandarynki dojrzewały dopiero w listopadzie, ale i tak sady robiły wrażenie. Trochę kojarzyły się z biblijnymi opisami raju. Przyjaciółka Ania, zwaną Głową, nie tylko z powodu nazwiska, ale i inteligencji, była atrakcyjną brunetką o dosyć orientalnej urodzie. Dziewczyna dowcipna, błyskotliwa, a przy tym świetna humanistka ze zdolnościami w kierunku nauk ścisłych. Dlatego potem ukończyła polonistykę i chyba ekonomię. Kiedy po latach widziałam się z nią ostatni raz, zajmowała wysokie stanowisko w banku.

Ale wtedy w Suchumi naszym głównym zajęciem było chichotanie. Co szczególnie irytowało moją mamę, która nigdy nie wiedziała, czy to ona przypadkiem nie jest obiektem naszych kpin. A myśmy chichotały ze wszystkiego, jedna popatrzyła na drugą i dostawałyśmy ataków śmiechu. Ten wiek tak ma.
Popalałyśmy też papierosy. Oczywiście w tajemnicy przed dorosłymi. Z tego powodu wymykałyśmy się z rezydencji, gdzie nas zakwaterowano, do otaczającego ją parku. A w rezydencji zawsze ogólnie dostępne były papierosy Kosmos – najlepsze papierosy radzieckie w granatowym opakowaniu. Miały trochę piekący smak, trudno było ocenić, czy są smaczne, ale uchodziły za luksusowe. Kiedy rodzice szli spać, podkradałyśmy je z Anką. Chodząc po parku, pewnego razu zobaczyłyśmy dwóch żołnierzy. Jeden był wysoki i przystojny, drugi dość krępy, ale o budowie sportowca. Nie pamiętam, kto pierwszy zagadał. Prawdopodobnie zaczęłyśmy się śmiać jak idiotki, co ich mogło sprowokować. Szczerze powiedziawszy – byłyśmy wtedy kompletnymi idiotkami. Ale chłopcy lubią podgłupiaste dziewczyny. W każdym razie kontakt został nawiązany. Miałyśmy ze sobą kosmosy, poczęstowałyśmy żołnierzy, jeszcze bardziej tym gestem zyskując w ich oczach. Obie nieźle znałyśmy rosyjski. Ja nie tyle ze szkoły, co z tych częstych wyjazdów i oglądania na wyjazdach filmów rosyjskich w oryginale. Anka z kolei była dobrą uczennicą. Szybko złapaliśmy wspólny język, był śmiech, trochę żartów, wypalenie razem kilku papierosów. Umówiłyśmy się, że następnego wieczoru też wyniesiemy im kosmosy. Ale musiałyśmy czekać dwa wieczory, bo okazało się, że ich warta przypada co drugi dzień.
Ten wysoki miał na imię Rafael, mieszkał w Leningradzie, gdzie grał w zespole muzycznym. Pochodził z inteligenckiej rodziny, o czym świadczyło imię, nadane mu przez rodziców na cześć włoskiego malarza. Jego siostra z kolei miała na imię Wenera. Anka zwróciła uwagę, że Rafael patrzy na mnie maślanym spojrzeniem. Nasze spotkania były regularne. Zwykle trwały pół godziny. Kiedy rozlegały się na parkowej alejce kroki, a zwłaszcza gdy mógł przechodzić wojskowy, przełożony chłopaków, natychmiast chowałyśmy się w krzakach. Oczywiście ciągle chichocząc. Dwa dni przed naszym wyjazdem Rafael poprosił mnie o rozmowę, dając do zrozumienia, żebym przyszła na następne spotkanie sama. Ale wcale nie miałam na to ochoty. Uważałam, że będzie szalenie zabawnie, jak pójdziemy z Anką. Kiedy siedziałam z Rafaelem na ławce, ona ukryła się w krzakach. Rafael zaczął mi recytować wiersz, który specjalnie dla mnie napisał. Powiedział, że skomponuje do tego muzykę. Już nie pamiętam słów, ale w refrenie pojawiało się wyrażenie: „S lubimymi nie rasstawajties'", trzykrotnie powtórzone. Rafael patrzył mi głęboko w oczy, był śmiertelnie poważny i zabójczo romantyczny. A mnie się chciało śmiać. Zagryzałam usta, bo wiedziałam, że zranię jego uczucia. Długo się powstrzymywałam, lecz kiedy po raz kolejny powtórzył refren, nie wytrzymała Anka, cały czas przyczajona w krzakach. Parsknęła śmiechem. Ja też natychmiast eksplodowałam, prawie dostając konwulsji. Musiało mu się zrobić przykro... Nie zraził się jednak i z westchnieniem poprosił o mój adres.
Prawie po roku przyszedł od niego list, choć był datowany niedługo po moim wyjeździe. Widać było, że wielokrotnie go odklejano i prześwietlano. Najwyraźniej czekano na odgórną decyzję, czy można zezwolić na to, by żołnierz radziecki poetycko wyznał miłość córce polskiego ministra obrony. Być może nawet zatrudniono szyfranta, który między wierszami miałby odczytać zakodowane informacje na temat tajnych siedzib KGB. Bo przecież tak pozornie niewinny list mógłby się przyczynić do rozpadu nawet Układu Warszawskiego… From Russia with love.
Tymczasem mój James Bond przysłał mi ten wiersz *S lubimymi nie rasstawajties'* (dla służb hasło mogło być wieloznaczne). Dołączył do niego kilka innych wierszy, bardzo poetycko napisanych. W kopercie znalazłam też jego zdjęcie w mundurze i z jakimś odznaczeniem przypiętym do piersi. Z koleżankami długo to zdjęcie oglądałyśmy, pękając ze śmiechu, jak to idiotki. Chociaż myślę, że tak trochę zazdrościły mi tej romantycznej historii. (…)